

Praca pt.: „**Wróg a jednak przyjaciel**”, dotycząca miejscowości **BORKOWIZNA**, została wyróżniona w VI edycji (2001/2002) konkursu Ośrodka KARTA i Fundacji im. Stefana Batorego, poświęconego historii bliskiej „Obcy wśród swoich. Doświadczenie XX wieku.”

**Autorki pracy: Kinga Sagan, Monika Fludra i Marta Sawecka.**

**Opiekunka: Anna Kuras.**

## W S T Ę P

Jesteśmy uczennicami II klasy Publicznego Gimnazjum w Bystrzycy Starej, niewielkiej miejscowości położonej w województwie lubelskim. Mieszkamy na wsi, dlatego miałyśmy utrudniony dostęp do niektórych źródeł informacji.

W miejscowości, w której mieszkamy - Borkowiznie pozostały do dziś ślady po zamieszkujących ją kiedyś Niemcach. Są to dawny kościół osadników niemieckich (obecnie Wiejski Dom Kultury) oraz szczątki cmentarza.

Na pewno każdego zastanawia fakt, dlaczego zdecydowałyśmy się wziąć udział w tym konkursie. Na początku skłonił nas do tego fakt, że możemy otrzymać za to dobre oceny z historii. Potem jednak stało się dla nas mało ważne, ponieważ zrozumiłyśmy, o wiele ważniejsze jest dla nas to, aby poznać kulturę i tradycje innych narodowości, które niegdyś zamieszkiwały nasze okolice. Chciałyśmy się dowiedzieć czy było im tu dobrze, jak układały się im stosunki z tutejszą ludnością oraz jak to się stało, że stąd wyjechali. Po długich i wyczerpujących poszukiwaniach dotarłyśmy do osób, które odpowiedziały nam na nurtujące nas pytania. W naszej decyzji, aby przystąpić do konkursu utwierdził nas fakt, że zaczynając poszukiwania dowiedziałyśmy się, iż jedna z nas ma korzenie w Niemczech. Jej prą, prą, babka była z pochodzenia Niemką. Po długich poszukiwaniach udało się nam dotrzeć do jej grobu.

Na pewno nigdy nie będziemy żałować swojej decyzji o przystąpieniu do konkursu. To, czego się dowiedziałyśmy i co odkryłyśmy wniosło do naszego życia bardzo dużo i na zawsze utkwi w naszej pamięci.

Nasza praca powstała w oparciu o relacje ustne najstarszych mieszkańców wsi: Józefa Sagana, Bronisławy Borek, Janiny Konieczna, Czesławy Zarzecznej, Danuty Korzeniowskiej. Udało nam się dotrzeć także do dokumentu archiwalnego w Państwowym Archiwum w Lublinie (APL, RGL, syg. 1891:75). Korzystałyśmy z opracowań na temat osadnictwa niemieckiego na terenie Lubelszczyzny:

- S. Górecki, „Niemcy w Królestwie Polskim, Warszawa 1908 r.
  - W. Śladkowski, „Kolonizacja niemiecka w południowo- wschodniej części Królestwa Polskiego 1815- 1915, Lublin 1969 r.
  - W. Śladkowski, „Koloniści niemieccy a środowisko, wzajemne wpływy i oddziaływanie, w: Annales Universitatis Mariae Curie- Skłodowska, sec.F, 1968r.
- K. Tymaniecki, „Niemcy w Polsce, w: Roczniki Historyczne 1936 r., T. 12, H. Wiercieński, „Kolonizacja niemiecka w guberni lubelskiej, w: Ekonomista 1908r.,R.8.

## WRÓG A JEDNAK PRZYJACIEL

Nasza miejscowość - Borkowizna to mała wieś położona w gminie Strzyżewice, na terenie województwa lubelskiego, w dolinie rzeki Bystrzyca.

Jej nazwa pochodzi od słowa „borek”, czyli mały las. Obecnie w Borkowiznie znajdują się 84 gospodarstwa rolne.

Po raz pierwszy w naszej okolicy Niemcy pojawili się w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XIX wieku.

Po powstaniu styczniowym władze carskie popierały kolonizację niemiecką w Królestwie Polskim ze względów politycznych, widząc w niej czynnik w walce przeciwko polskiemu ruchowi narodowowyzwoleńczemu i przeciwko polskości.

W 1874 roku na terenie Borkowizny utworzono kolonię niemiecką. Niemcy przybyli tutaj z Galicji. Kolonizacja miała, więc charakter osadnictwa wtórnego osadników niemieckich na ziemiach polskich. Drugim powodem było również to, że w Galicji było duże zagęszczenie ludności. Niemcy zawarli umowę z dziedzicem, Daniszewskim, że nabędą na terenie Borkowizny ziemie. Jednym z ludzi, którzy kontraktowali z Niemcami był pan Paluch i Kurzajewski. Niemcy dowiedziawszy się, że jest ziemia do nabycia zostali zabrani do Galicji i przesiedleni na Borkowiznę. Północną część Borkowizny zamieszkiwali Niemcy. Żaden z tutejszych mieszkańców nie pamięta dokładnie ilu ich było. Powiedzieli nam jednak, że sprowadziło się tu 22 gospodarstwa, a przeciętna rodzina liczyła około siedmiu osób, najliczniejsza 16. Wnioskujemy z tego, że było ich około 200 osób.

Udało nam się dotrzeć do wykazu miejscowości, w których mieszkali parafianie kościoła ewangelickiego w Lublinie (APL, RGL, AIV, syg. 1891: 75), wymieniona jest nasza miejscowość a w niej 40 dorosłych mieszkańców narodowości niemieckiej.

Wobec wzrastającej liczby kolonistów, rozproszonych na obszarze Królestwa Polskiego pastory nie mogli w pełni wykonywać swych obowiązków religijnych, gdyż z powodu dużych odległości koloniści nie byli w stanie często odwiedzać istniejących świątyń. Sytuacja ta zmusiła kolonistów do wytworzenia instytucji nieznannej w ich rodzinnych stronach - kantoratu. Wszystkie większe kolonie budowały swój dom modlitwy, w którym pastora zastępował kantor, wybierany wśród inteligentniejszych kolonistów.

Niemcy mieszkający w Borkowiznie także pobudowali w 1890 roku swój kościół. Kantor odprawiał w niedzielę i święta nabożeństwa, chrzczył i dawał śluby oraz grzebał zmarłych, jednak jak się dowiedzieliśmy w Borkowiznie kantor nie udzielał ślubów. Para młoda, aby zawrzeć związek małżeński musiała pojechać do Lublina. Na większe święta przyjeżdżał pastor z Lublina.

Rozmawiając z mieszkańcami Borkowizny dowiedzieliśmy się, że w odległości około 300 metrów od kościoła Niemcy założyli cmentarz, na którym chowali najbliższych. Postanowiliśmy to sprawdzić i poszliśmy w określone miejsce. Cmentarz ten znajduje się w niedużym lasku. Niestety widok nie jest zbyt przyjemny. Pozostało tam jedynie trzy lub cztery płyty nagrobne. Polacy nie uszanowali woli zmarłych Niemców i rozkradli płyty. Cmentarz porosły ciernie i chaszczki. Przyjeżdżający tu Niemcy, nie byli zadowoleni z tego, w jakim stanie zastali miejsce wiecznego spoczynku swoich bliskich.

Niemcy byli protestantami, więc nie uznawali świąt Matki Bożej. Uznawali jednak inne święta katolickie takie jak Wielkanoc czy Boże Narodzenie. Pani Danuta Korzeniowska wspomina: „Razem z moją babcią, która była z pochodzenia Niemką, chodziłyśmy na pasterkę do niemieckiego kościoła. Babcia zawsze mówiła, że więcej mnie nie weźmie, bo się chicholę. No, ale ja byłam małą dziewczynką to mi się śmiać chciało. Bo oni na takiej długiej tyczce umocowywali taki czarny, zamszowy woreczek i podstawiali każdemu pod nos i tym sposobem zbierali tacę. Przychodziłam do domu i mówiłam mamie: Mamo taki byczy woreczek podstawiali. Pamiętam, że babcia wtedy się denerwowała.” Pani Czesława Zarieczna wspomina, że z babcią - Niemką - chodziła na jasełka do kirchy i zawsze podziwiała talent Niemców do śpiewu. Pani Konieczna mieszkająca w Kiełczewicach Maryjskich powiedziała nam, że najważniejszym świętem dla Niemców był Wielki Piątek. Dzień ten świętowali jak żaden inny, nie wykonywali wtedy żadnych prac. O godzinie dwudziestej cała rodzina zasiadała do kolacji, która była ich jedynym posiłkiem w ciągu całego dnia.

Z życiem religijnym ściśle związane było szkolnictwo kolonistów. Jego najbardziej rozpowszechnioną formę stanowiły kantoraty, mające charakter szkół religijnych. Jak nam wiadomo na początku dzieci niemieckie mieszkające w Borkowiźnie nie chodziły do szkoły, dopiero w 1890 roku pobudowano budynek, w którym mieściła się szkoła, w tym właśnie budynku znajdował się także kościół. Mieścił się tam niewielki pokój dla kantora. Pełnił on, bowiem także funkcję nauczyciela, ucząc dzieci kolonistów i przygotowując je do konfirmacji. Tej ostatniej po przeprowadzeniu egzaminu mógł udzielić tylko pastor, który w tym celu, co jakiś czas odwiedzał poszczególne parafie. Obok religii w szkole uczono także czytania i pisania. W myśl zasad wiary ewangelickiej każdy jej wyznawca mógł być konfirmowany dopiero po wykazaniu się umiejętnością czytania, niezbędną dla późniejszej lektury Biblii. Dzieci polskie także uczęszczały do tej szkoły jednak polscy nauczyciele zabraniali im tego gdyż bali się, że się „zniemczają”. Niektóre dzieci wołały pozostać w domu gdzie uczyła ich matka. Ich wykształcenie nie było zbyt duże, gdyż młodzi ludzie potrafili jedynie czytać i pisać, choć i to nie zawsze wychodziło im zbyt dobrze.

Rodziny niemieckie zajmowały się uprawą roli i gospodarką. Niemcy byli dobrymi i zgodnymi gospodarzami. Mieli lepsze plony niż Polacy a to wynika z tego, że byli bardziej oświeceni w stosunku do rolnictwa. Mieli lepszy sprzęt i ich wiadomości były bogatsze na ten temat. Niemcy lepiej uprawiali a Polacy lepiej święcili. Kiedy ksiądz chodził święcić plony Polacy stali i dawali znak ręką aby nie poświęcił plonów Niemców. Jednak to zawsze niemieckie zboże wyrosło większe. Uprawiali głównie zboże. Ponieważ dochody nie były duże, często brakowało pieniędzy. Jeden z Niemców, który nazywał się Father miał dużo dzieci. Jego dzieci chodziły głodne. „Jak przyszedł do stryjenki Saganowej - wspomina pani Korzeniowska - i ten chłopiec mówił: „Saganka jak ja bym, co zjadł to ty nie wiesz. W domu było ich 8 dzieci a żona jego była ciągle chora”. Ojciec i starsi synowie chodzili na zarobek do Polaków. Pomagali przy żniwach i wykopkach, w zamian za to otrzymywali parę złotych lub worek zboża. Pani Janina Konieczna podporucznik Wojska Polskiego dobrze pamięta, że jej ojciec zawsze na żniwa zatrudniał trzech Niemców: Kurta, Franza i Rachelę. Byli skorzy do pracy i chętnie pomagali. Niemcy byli dobrymi gospodarzami, co sobotę starannie uprzętały swoje obejścia i o ziemię. Niemcy zajmowali się nie tylko rolnictwem. Jeden z Niemców był kowalem nazywał się Beker. Był też stolarz- Rodałek i cieśla- Gabryl.

W domu u Niemców zawsze był reżim. Rano musiało być śniadanie a o 12:00 obiad i każdy zasiadał o tej godzinie do stołu. Pani Korzeniowska wspomina, że nawet, kiedy poszła do swojego wuja to o tej godzinie był alarm, że trzeba iść na obiad. Po obiedzie ustalano dyżury i trzeba było pozmywać. Nigdy nie było tam bałaganu.

Stosunki Polaków z Niemcami układały się nadzwyczaj dobrze. Na początku w obu narodowościach przejawiała się nieufność, która z czasem przerodziła się w prawdziwą przyjaźń. Niemcy dawali Polakom przykład swoim ładem i porządkiem. Polacy wspierali ich materialnie i duchowo. Pani Zarzeczna wspomina, że jeśli zdarzyło się jakieś nieszczęście to Niemcy umieli to opanować. Kiedy wybuchł pożar to straż szybko przyjechała końmi. Niemcy natomiast szybko biegli z wiadrami i ustawiali się wzdłuż rzędami i podawali sobie wiadro z wodą. Nakrywali sąsiednie dachy budynków płachtami i polewali je wodą. Pan Zarzeczny natomiast mówi jak to dobrze żyło się z Niemcami, szczególnie z Ludwikiem Siringiem i Piotrem Siringiem. Pamięta, że często grali ze sobą w karty.

Piotr Siring był współtwórcą Spółdzielni Rolniczo Handlowej „Jutrzenka” założonej w 1906 roku. Miała ona za zadanie upowszechnianie nowoczesnych narzędzi rolniczych i najlepszych odmian zbóż. Za jego czasów chciano zbudować w naszej gminie pomnik Józefa Piłsudskiego, on jednak zamiast tego wołał utworzyć „żywy pomnik”. Spośród polskich dzieci wybrano dwoje, chętnych do nauki i gmina sfinansowała ich dalszą naukę. Dowiedziałyśmy się, że zdobyły jak na te czasy wysokie wykształcenie. Piotr Siring uważany był za bardzo mądrego człowieka. Jedną ze swoich córek wykształcił w Lublinie, a jego syn

miał przed wojną tam taksówkę. Rodzina Siringów miała największe gospodarstwo w okolicy.

Drugą wyróżniającą się rodziną byli Wagnerowie. Mieli oni dość duże gospodarstwo, jeden z Wagnerów należał do spółdzielni handlowej.

Mimo tak wielkiego przywiązania obu narodowości do siebie to Niemcy nie chcieli się spoufalać z Polakami ani zawierać z nimi małżeństw. Polacy natomiast uważali się za lepszych. Kiedy Niemka wyszła z Polaka to było wielki wydarzenie. Siostry męża nie lubiły swojej szwagierki Niemki. Także Niemcy starali się ją odizolować od społeczności niemieckiej tylko dlatego, że wyszła za Polaka. Jej rodzice mieli podzielone zdania na ten temat. Ojciec nie mógł wybaczyć jedynej córce tego, co zrobiła, natomiast matka pogodziła się z wyborem swojego dziecka.

Pewna pani powiedziała nam, że wielokrotnie rozmawiała z Niemcami na temat ich pobytu w Polsce. Mimo, że żyło im się tu bardzo dobrze, to bardzo tęsknili za krajem. Ilekroć ktoś wspominał o ich ojczyźnie z oczu płynęły im łzy. Tęsknili za rodzicami, braćmi, siostrami i przyjaciółmi, którzy zostali gdzieś daleko.

Kiedy w 1914 roku wybuchła I wojna światowa całe rodziny niemieckie zostały ewakuowane do Kowla w Rosji. Puste domy pozajmowali Polacy, gdyż przez Borkowiznę przechodziła linia frontu i wiele gospodarstw spłonęło. Kiedy Niemcy wrócili z Kowla zamieszkali razem z Polakami dopóki tamci nie odbudowali swoich zniszczonych domostw.

Wyprowadzenie się Niemców z terenów Borkowizny wiąże się z wybuchem II wojny światowej w 1940 roku. W 1939 roku władze polskie, obawiając się, iż z kolonistów niemieckich rekrutuje się tzw. „piąta kolumna” tzn. szpiedzy, nakazały zatrzymanie mężczyzn niemieckich w pomieszczeniach majątku Kiełczewice Dolne. Kiedy dowiedział się o tym proboszcz kiełczewski ks. Korsak, interweniował u władz polskich, poręczając lojalność tych Niemców i dzięki niemu zostali zwolnieni.

Dla ludzi, którzy mieszkali i dorastali razem z Niemcami rozłąka i wojna były czymś strasznym. „Niemcy bali się zachowania Polaków, ponieważ zdawali sobie sprawę z tego, że są Niemcami. Z chwilą wybuchu wojny solidarność tych rodzin niemieckich z nami Polakami stała się silniejsza. Wszystkich mężczyzn pełnoletnich Niemcy wcielili do wojska lub swojej policji. Niemcy urządzali łapanki na Polaków. Oni zaś zawsze o takich akcjach ludność wiejską, z którą zamieszkiwali, uprzedzali. I wielu nam uratowali życie” - mówi pani Janina Konieczna, podporucznik Wojska Polskiego.

Jakieś dwa lata przed kapitulacją Niemcy dostali zawiadomienie, że zostają przesiedleni. W jednej chwili zaczęli sprzedawać, co mogli: inwentarz, sprzęt oprócz budynków. Z powodu szybkiego wyjazdu Niemcy wynajmowali Polaków za darmo do pracy. Był wtedy sierpień, okres zbiorów, więc Polacy musieli zebrać plony z niemieckich pól. Pan Zarzeczny wspomina jak sam woził zboże. Najczęściej brał go do pomocy Rodałek. Zebrane zboże trzeba było zawieźć do Niedrzwicy. Przez gminę najmowane były wagony, ponieważ dawniej w Borkowiznie była stacja kolejowa. Jednak byli i tacy, którzy pomocy nie brali tak jak Johan i Piotr Siringowie.

„Niemcy zabrali osadników w poznańskie, a Poznaniaków przysłano tutaj” - mówi pani Bronisława Borek jedna z mieszkanki Borkowizny. Inna kobieta opowiadała nam, że nie wszyscy chcieli wyjeżdżać. Był jeden młody chłopak, który uciekł do lasu do partyzantki. Prawdopodobnie brał udział w walkach z Niemcami, nie wiadomo, co się z nim stało. Być może zginął gdzieś i spoczywa w lesie wśród współtowarzyszy broni i braci Polaków, bo tak ich nazywał. Dla ludzi, którzy mieszkali i dorastali razem z Niemcami rozłąka i wojna były czymś strasznym. Nigdy już nie spotkali dawnych znajomych i przyjaciół.

Kiedy pani Danuta Korzeniowska była w Niemczech i jeden z jej znajomych, pan Rotang opowiedział jej kto wojnę przeżył a kto zginął. Z mężczyzn na wojnie poginęli: Filip Wagner,

Karol Wagner został ranny na froncie zachodnim i zmarł w domu na skutek odniesionych ran. Siring zginął w obozie gdyż pomagał nauczycielowi Mandrykowi, który również się tam znajdował. Syn jego Robert zginął na wojnie. Wiele kobiet zmarło podczas przesiedlenia. „Wiem, że na pewno wojnę przeżyli: sieroty po Siringach, Siring Ludwik i dwaj bracia Martinowie”- wspomina pani Danuta Korzeniowska. Jedna z kobiet, która przeżyła przesiedlenie, opowiedziała pani Danucie swoją historię. Kobieta ta wyjeżdżając z Borkowizny miała trójkę dzieci a w Poznaniu urodziła jeszcze dwójkę. Jej najstarszy syn odmroził sobie nogi, więc wiozła go na dziecinnym wózku idąc z resztą dzieci, w ostatniej chwili przekroczyła granicę wschodnią Niemiec. Dostała się do Bremy, do drugiej strefy okupowanej przez Amerykanów. Doskwierała im niesamowita bieda i nie mieli, co jeść. Kiedy zachorowała dostała się do szpitala i tam odnalazła swojego męża, który został ciężko ranny na wojnie. Lekarze nie wiedzieli, kogo ratować, matkę czy ojca. Jednak udało im się uratować ich oboje. Kobieta ta nigdy nie zapomni, jaką gehennę przeżyła.

„Ci Niemcy dobrze wspominają tamte czasy, kiedy mieszkali na Borkowiznie, nie mają żalu do Polaków. Uważają, że trzeba im pomóc. Mówią jednak, że nigdy tu nie wrócą, dlatego, że w Niemczech dostali odszkodowania i teraz żyje im się bardzo dobrze” -wspomina pani Danuta.

Dziś po Niemcach na Borkowiznie nie pozostało wiele, lecz są to zabytki wyjątkowe. Jednym z nich jest dość zaniedbany cmentarz, który na wiosnę postanowiłyśmy go odnowić, gdyż przejął nas jego fatalny stan. Kolejnym zabytkiem był budynek, w którym mieściła się szkoła i kościół niemiecki. Budynek był w świetnym stanie i pełnił funkcję miejscowego klubu. Niestety 1 grudnia 2001 roku spłonął w pożarze. Kiedy Niemcy go budowali używali bali liczących sobie około 80 lat, szacując, że został wybudowany w 1890 roku, drewno liczyło sobie około 200 lat.

Po Niemcach pozostały nie tylko budynki i cmentarz. Zostały także wspomnienia. Pani Konieczna powiedziała nam, że dziesięć lat temu w nasze tereny przyjechało młode, niemieckie małżeństwo, które chodziło po naszej miejscowości i poszukiwało domu, w którym przed laty mieszkała rodzina Bekrów. Byli także na cmentarzu w Borkowiznie i szukali grobów swoich bliskich. „Mieli dokładny plan z zaznaczonymi miejscami, które ich interesowały, więc chyba ktoś z tych rodzin wojnę przeżył” - opowiada kobieta.

Osoby, z którymi rozmawiałyśmy wypowiadały się o tamtych czasach z rozrzewnieniem. Z tęsknotą wspominali wspólne zabawy i żarty. Ludzie ci dziękowali nam za to, że pomogłyśmy im sobie przypomnieć te dawne czasy i to, że ogromny wróg był również wielkim przyjacielem.